

Nur für Schengen

28 lutego 2008

Bitwa, w wyniku której utraciliśmy ostatecznie wpływy na Ukrainie, rozegrała się w Luksemburgu. Polska przegrała z własną głupotą.

– Na chuj mnie ta Polszcza? – odpowiada pytaniem na pytanie Wołodia, tynkarz i glazurnik spotkany na Awtostancji nr 2 (dworzec autobusowy) we Lwowie, gdzie w barze od siódmej rano podróżni zachodzą na setkę nie wiedząc, że właśnie od tego poranka Polska jest w strefie Schengen. – W Kijowie ja mam tysiąc baksów w miesiąc. W Moskwie też.

Drzwi baru otwierają się pięć razy na minutę. Minus 15 stopni faktycznie łagodzi jedynie sto gramów. Na chwilę. Wołodia zaraz ma autobus do Iwano-Frankowska (Stanisławowa). Tańka, moja ukraińska dziewczyna, i ja czekamy na godzinę, kiedy otwierają we Lwowie urzędy. Chcemy się pobrać. Musimy, bo miesiąc wcześniej ją deportowali. Zagapiła się. Myślała, że roboczą wizę ma do końca listopada, a miała do końca października. Na granicy przeszła całą upokarzającą procedurę: pobrali jej odciski palców, przesłuchiwali i po sześciu godzinach wstawili do paszportu pieczętkę, która zabrania jej na rok wjazdu do polskiego raju. Ślub powinien pomóc w powrocie. W Warszawie czekają jej pracodawcy. Młode sympatyczne małżeństwo, które samo nie może sobie poradzić z wyścigiem szczurów i rocznym Maksem. Nie chcą żadnej innej opiekunki. Tańka – za rok kończy biologię na uniwersytecie we Lwowie – nawet w barze puszcza na ekranie komórki filmiki z dzieciakiem. Bachor klaszcze – nauczyła go tego – i śmieje się jak głupi. Łzy lecą jej ciurkiem. Komu to przeszkadzało?

MY ZDIES EMIGRANTY

Zachodnia Ukraina – z grubsza ta jej część, która przed wojną leżała w granicach Rzeczypospolitej – zdechłaby z głodu, gdyby

nie emigracja. Nie ma tu właściwie nic oprócz upadłych kołchozów, przemysłu na lekarstwo, trochę kopalń – poza tym pustynia. Miliony ludzi pracują w Portugalii, Włoszech, Hiszpanii, Austrii, Czechach i Rosji. W takiej Portugalii jest ich prawie 200 tysięcy. Rząd uruchomił tam nawet bezpłatną linię telefoniczną po ukraińsku, żeby mogli legalizować pobyt bez szyszan. U nas to nie do pomyślenia. Na zabita dechami ukraińską wieś płyną miliardy baksów, pozwalając stawiać nowe domy i remontować stare. Ludzie urządzą pierwsze w historii łazienki w chałupach, instalują pralki i zestawy kina domowego. Powstają sklepy, bary i zakłady usługowe. Dzieci, które matkę albo ojca widzą raz w roku, osładzają sobie los rżnąc na najnowszych komputerach w te same strzelanki, co polskie pacholeta. Zostając w domu rodzice mogliby liczyć na 600–700 hrywien (300–350 zł), gdyby jakimś cudem dostali robotę. A ceny tam wyższe niż w Polsce, z wyjątkiem nośników energii: wódki, papierosów, prądu, benzyny i opału.

Dlatego Ukraińcy sprzątają w połowie Europy, remontują i budują drugą połowę. Zapiierdalają w nadziei, że może i u nich, jak w Jewropie, zapalą się we wsiach i miasteczkach uliczne latarnie, które zgasły podczas kryzysu w latach 90. (latarka rzecz niezbędna; w razie jej braku prościej w sklepie o „zażygałkę s fonarikom”, czyli zapalniczkę ze świeatełkiem). Wtedy byłoby jak za Sojuza, a nawet lepiej, bo wreszcie na swoim. Skończyłaby się pogarda, z jaką styka się 48-milionowy naród na Wschodzie i Zachodzie. W Rosji traktują „chochłów” (Ukraińców) jak lekko niedorozwinięte młodsze rodzeństwo, które, nie wiadomo dlaczego, odcięło się od imperium. W Polsce...

SZLABAN Z PAPIERU

Plotki o wymaganiach, jakie trzeba spełnić, żeby dostać schengeńską wizę, budzą na Ukrainie niedowierzanie i pusty śmiech. 3 tys. euro na koncie? Kto tu ma konto? 500 zł na dzień pobytu? Nikogo na to nie stać. 35 euro za wizę to fikcja; trzeba do tego dodać koszt sterty dokumentów (płać,

żeby je wystawili), fotografii, dojazdów.

Polacy muszą się zacząć przyzwyczajać do braku ukraińskich pomocy domowych, opiekunek do dzieci, robotników budowlanych i rolnych. Do 2004 r. (wtedy wprowadzono wizy) bywało ich u nas do 1,5 miliona rocznie, potem ta armia dramatycznie topniała z roku na rok. Ministrowie kaczorządu, Lepper i Kalata, obiecywali ułatwienie sezonowej (dlaczego tylko sezonowej?) pracy Ukraińców w Polsce. Biurokracja przekuła to na idiotyczne przepisy, według których przybysz ze Wschodu może legalnie pracować zaledwie trzy miesiące (pod warunkiem że dostarczy zaświadczenie od polskiego pracodawcy, zaproszenie poświadczane w urzędzie wojewódzkim RP i inne kwity). Potem niech spieprza za Bug i zaczyna całą zabawę od nowa. Nic dziwnego, że oficjalnych pozwoleń na pracę jest śmiesznie mało – ok. 2 tysięcy rocznie.

Ilu Ukraińców odwała dziś czarną robotę nad Wisłą, nie wiadomo. Według „Gazety Wyborczej” 200–500 tysięcy. Moim zdaniem niedługo zostanie kilkadziesiąt tysięcy desperatów, którzy będą nielegalnie harować tak długo, jak się da. W perspektywie będą mieli deport lub przedzieranie się przez zieloną granicę, ostatnio mocno uszczelnioną.

RAJ UTRACONY

– Wolałbym wrócić do Polski, gdzie mniej zarobię niż w Moskwie, ale za to w kilka godzin jestem w domu. Mam tam klientów, przyjaciół, ale tak to się nie da – mówi Igor, były górnik przekwalifikowany na murarza i glazurnika. – Zostaje Kijów. Albo szachta (kopalnia). Pięć lat dorobię i pensja (emerytura) gotowa – tłumaczy. Godna emerytura to jakieś 300 zł.

Kombinujemy, jak Igora ściągnąć z powrotem do Polski. W końcu taki z niego Ukrainiec, jak ze mnie Mongoł.

Trzeba znaleźć rolnika, który Igora zatrudni. Dozwolone trzy miesiące na początek wystarczą. Zarobi przynajmniej na

mieszkanie, które wynajął w Warszawie za lepszych, nieschengeńskich czasów. Wtedy tłukł w miesiąc 3–4 tys. zł.

Wielu Ukraińców wolałoby do Polski, a nie do Kijowa albo Moskwy, bo tam nawet jak umówią się z klientem na cenę, to potem taki przywozi kilku łysych w skórach i wypłaca – jak dobry pan – połowę stawki. Ale nie mogą. Schengen w wykonaniu polskich nadgorliwców skuteczniejsze jest od muru berlińskiego.

Oficjalnie nasi politycy wycierają sobie gęby polsko-ukraińską przyjaźnią na co dzień i od święta. Delegacje wręczają kwiaty, a pogranicznicy wbijają kochanym sąsiadom deport jak leci, niszcząc tysiące polsko-ukraińskich przyjaźni i związków. Żeby wschodniej barbarii nie dopuszczać do polskiej arkadii. W sumie wymagania Schengen będą dla nas wygodnym usprawiedliwieniem dla apart-heidu, który funkcjonował od lat.

WITAMY W EUROPIE

– Pokaż ręce! – wrzeszczał pogranicznik do wystraszonej Ukrainki. Sprawdza, czy baba z trzema torbami i dłońmi pokłutymi igłą rzeczywiście jedzie do spa w Zakopanem. Szwaczkę zdemaskował jej bagaż, wiadomo – turyści na tydzień słoniny i 10 par majtek nie biorą. Zresztą ubrana była jak na Syberię. A co miała tłumaczyć, że hałę, gdzie szyje, ogrzewano tylko za komuny.

– Spierdalaj, żebym ci deportu nie wstawił – łaskawie odsyła ją obrońca granic Europy.

Przeciętnie selekcji nie przechodzi 20 proc. pasażerów liniowych autobusów.

– Z czerwonoegradzkiego autobusu potrafią wpuścić tylko trzy osoby – wspomina Tańka.

– Jasne, ale tam naprawdę sami przemytnicy – odpowiadam.

Ech, teraz to już nieaktualne. Papierosy i wódkę przemycają

tylko Polacy, oni wiz nie potrzebują. I będą to robić, bo paczka dobrych fajek kosztuje na Ukrainie 2 zł, litr benzyny – 2,5, a flaszka wódki – 8 zł.

Przyjaciółka Tańki, Swieta, od lat żyła z Polakiem. W końcu dziecko się im urodziło. Problem w tym, że Polak miał żonę w Anglii, która robiła mu trudności z rozwodem. Więc dziecko było obywatelem RP, a matka nie. Ponieważ Swieta za długo leżała w szpitalu po porodzie, przekroczyła termin legalnego pobytu w Polsce. Na granicy dali deport. Miesięczne niemowlę w samochodzie, ślub zaraz, a ona dostaje zakaz wjazdu do Polski na rok! Poradzili sobie: wyszła fikcyjnie za męża na Ukrainie i na nowe nazwisko dostała wizę. Potem rozwód i znowu ślub. Operacja ślub i rozwód razy dwa kosztowała ich tyle, że Wiesiu (mąż) do dzisiaj zgrzyta zębami. Ale wesele było super. Wiesiu nawet nie pyta, dlaczego państwo polskie chciało mu rozbić rodzinę. Po prostu załatwia wizy krewnym i znajomym Swiety. Kiedyś powinni postawić mu pomnik. Tyle że nie każdy Ukrainiec ma swojego Wiesia.

RYBA NIE BIERZE

Po ukraińskiej stronie wszystko jasne: dajesz w łapę 5–10 hrywien (1–2 dolary) i jedziesz. Stawki za tiry są wyższe, odpowiednie do pośpiechu kierowcy i wartości towaru. Nasi podobno już nie biorą. Cały czas wisi im nad głowami policja. Wsadzają i celników, i pograniczników.

– A kto ci powiedział, że nie biorą? – komentuje Sasza, który wiezie mnie do Polski.

– Ty myślisz, że skąd te kolejki. Oni się ze sobą dogadują. Takie jedno nasze pograniczne „czmo” (moralne dno) po 12-godzinnej zmianie musi oddać 500 baksów szefom. I dla Juszczenki wystarczy, i dla waszych...

Skłonny jestem mu uwierzyć. Polskim służbom odprawienie pięciu samochodów zajmuje półtorej godziny. Największe zdziwienie celniczki budzi fakt, że nawet normy – karton na łeb –

papierosów nie wieziemy. (Sasza zarabia na imporcie z Polski, nie ryzykuje przemytu, to dla niego grosze, ja palę mentolowe Marlboro, a tych na Ukrainie nie robią). Stoimy jeszcze pół godziny. Grzebią w torbie z brudnymi gaciami. Kartkują książki. Co można przemycać w „Historii Etiopii”? Wreszcie puszczają. Ale i tak nie możemy wyjechać z przejścia. Wprawdzie wybudowano tu masę nowych biur, ale droga dojazdowa ma jeden pas. Zablokowali go ci, którzy jadą na Ukrainę. Odkorkowanie trwa godzinę.

Niedługo wrócę. Będzie ślub.

Autorzy: Jerzy Nowak i Dorota Zielińska

Źródło: [Tygodnik „NIE” nr 4/2008](#)